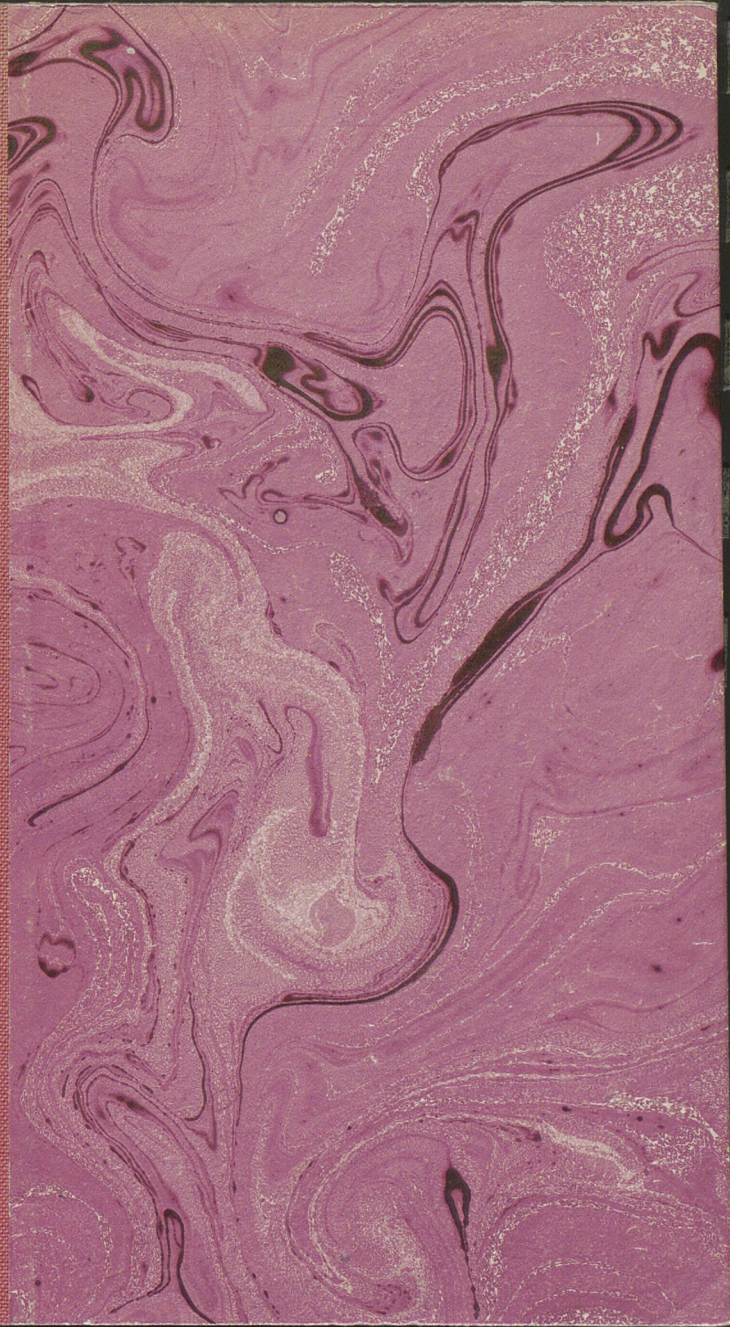
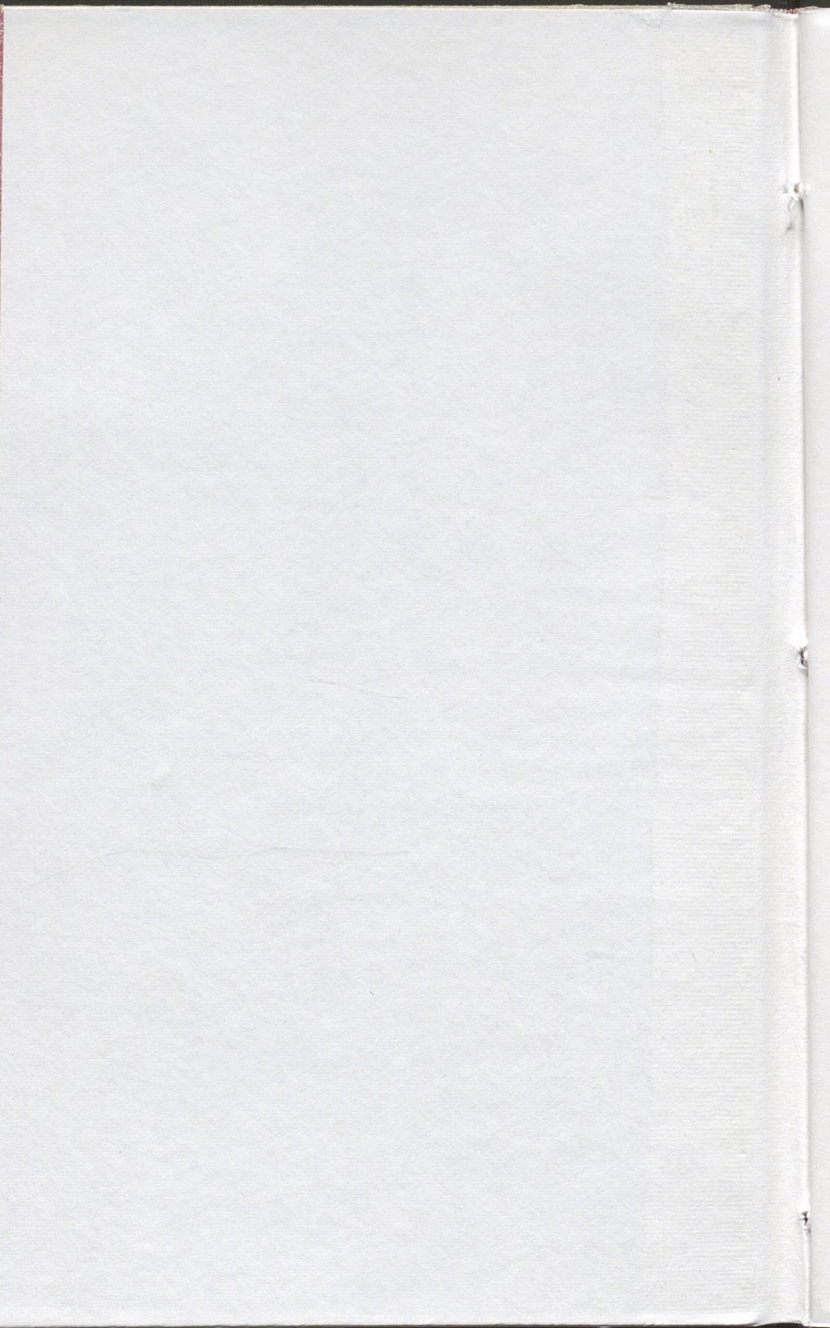
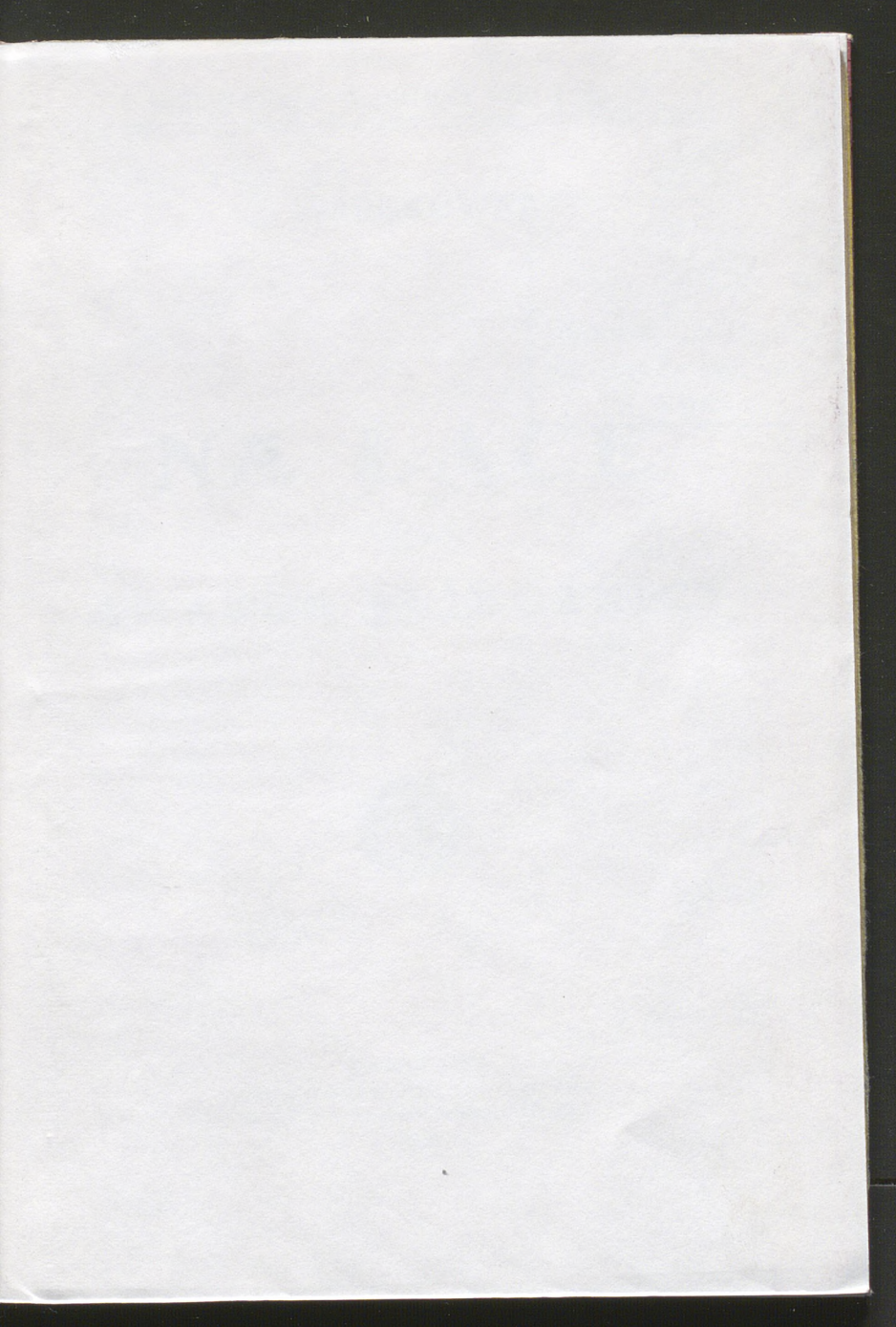
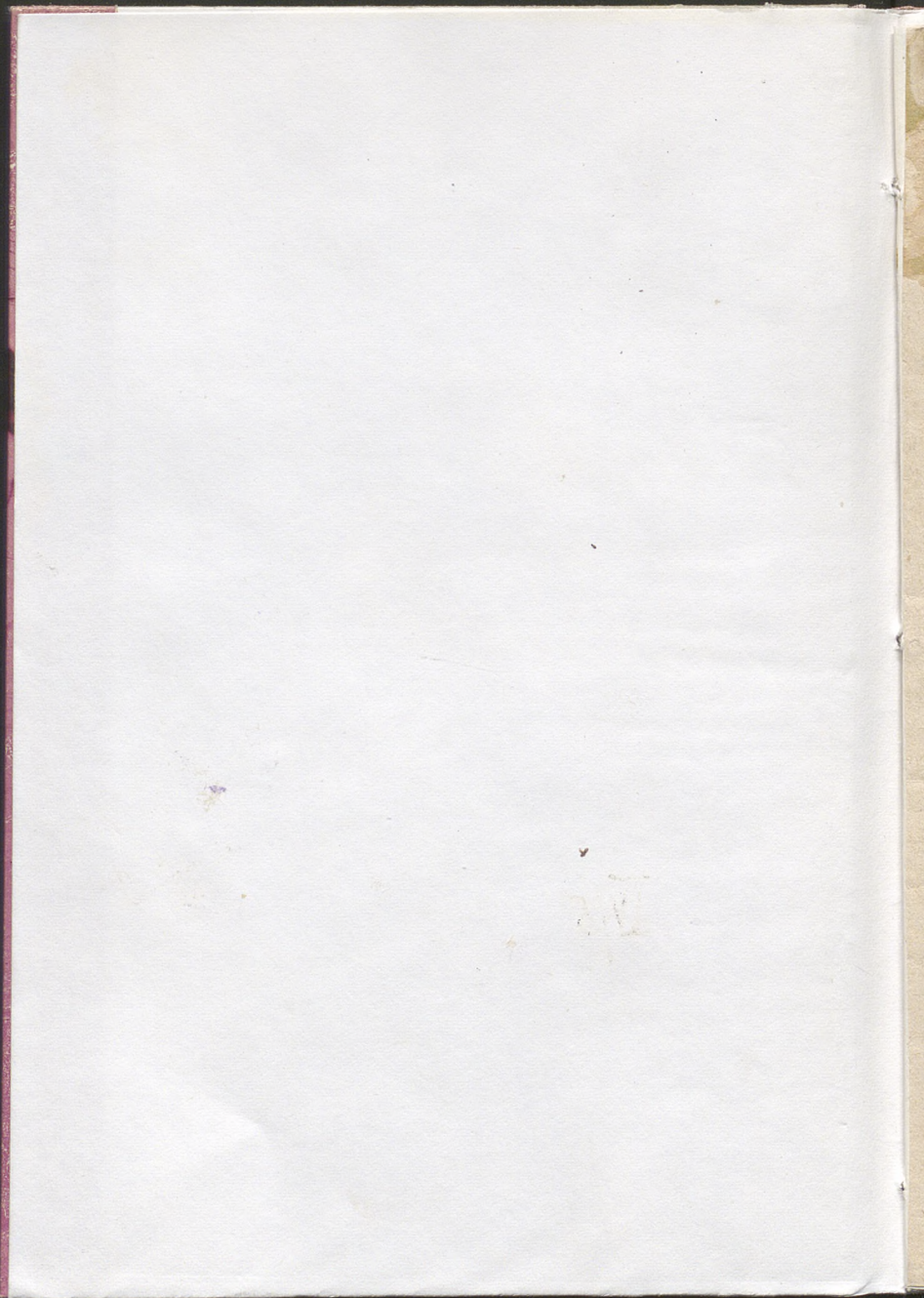


542572/28-29









BIBLIOTECKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 29

1542.572/29

J. WARNKÓWNA

704

Z księgozbioru

No 704

Seminarjum Państw.
dla naucz. rel. moż.
w Warszawie

NA ŁĄCE

AMATOR JAJECZNY



No Inw.

IV/5

699
~~III-8~~

ell - 20

WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908



I. 542.572/29

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1145416

NA ŁĄCE.



Mniszek.

Całą łąkę budził codziennie stary Mniszek, zwany także Dmuchawcem, bo gdy okwitnie, to nasionka jego tworzą kulkę puszystą, którą lada wietrzyk zdmuchnąć potrafi. O godzinie piątej otwierał szeroko żółte, płaskie oczko, złożone z mnóstwa wązkich listeczków, i wołał:

— Wstawać, bracia Skupieńce!*)

Na to hasło, jakby na komendę wodza, rozchylały swe korony wszystkie Mniszki, za nimi — podobne do nich bardzo, ale okazalsze — Kozibrody, a dalej niebieskie Cykorje, białe Rumianki i złociste Podbiały.

*) Rodzina Skupieńców, kwiatki drobne, złożone w główki.

Otworzywszy płateczki, otrząsały przy pomocy wiatru nocną rosę i podnosiły główki ku słońcu, które im rzucało hojnie ciepłe, jasne promienie.



Kozibród.



Dzwonek.

Zażółciło się na łące; całe szlaki Mniszków i Kozibrodów, ciągnące się wzdłuż ku rzece, wyglądały jak wstęgi złociste na zielonym aksamicie.

— Dzwoneczku, mój sąsiedzie, obudź się i za-

dzwoń na dzień dobry całej łące, — powiedział stary Mniszek do pięknego, wysokiego dzwonka o jasnych, liljowych kwiatach.

Dzwonek nie dał się prosić. Zadzwoił deli-



Gwoździk firletka.



Rzeżucha łąkowa.

katnie: dyń, dyń, dyń! a za nim jego bracia i krewniacy, i wkrótce ocknęły się wszystkie kwiaty i trawy. Gwoździki, Firletki, Rzeżuszka, Gwoździeniek czerwony z rozciętymi płatkami, pokryty delikatnym puszkim, Wierzbówka, Bluszcz, Stokrotka, Fijolek —

budziły się po nocnym śnie, otwierały kielichy, suszyły się i grały na słońcu.

Wśród licznych traw rozpoczynało się także życie. Wiatr poruszał ich źdźbła wiotkie i cienkie, a one pomiędzy sobą gwarzyły cichutko.

— Noc była chłodna, ale



Stokrotka.



Kłosówka wełnista.

dzień będzie pogodny i ciepły, — powiedziała Tonka Wonna do swego sąsiada Wyczyńca.

— Byleby deszczu nie było, — odpowiedział Wyczyńiec. Patrz, cały mój kłosek kwieciami obsypany: gdyby deszcz przyszedł, zniszczyłby je niezawodnie i nie wydalbym nasienia.

— Prawda. Masz bardzo dużo kwiateczków;
więcej nawet od Brzanki, choć jej kłosek dłuższy.

— Dzień dobry, Kłosówko! dzień dobry, Per-
lówko! dzień dobry, Drzączko, — wołał Wyczyniec



Wyczyniec.



Drzączka.

Kłosówka zaszeleściła wełnistą wiechą, ale
Perlówka i Drzączka nic nie odpowiedziały, tylko
trzęsły się bezustannie. Taki to one już mają nie-
mądry zwyczaj. Trzęsą się, choćby i w skwarne
południe, jakby im wiecznie było zimno.

Niestrawa, Grzebienica i Wyklina łąkowa su-

szyły już także swe źdźbła i kłoski, — a wielki, obsypany różowo-białem kwieciem Szczaw potrząsał puszystą kitą i dumnie spoglądał z wysoka na niższe trawy i ziola.



Perłówka.

Za przykładem kwiatów wstały ze snu Koniki polne, Świerszcze, Żuczki, Biedronki, Motylki, a na mokradlach Derkacze, Kuliki i inni mieszkańcy łąki.

Motyl Pawie Oczko rozłożył skrzydelka, ogrzał je w promieniach słońca, a potem usiadł na błękitnym Dzwonku, chcąc się zabrać do śniadania.

Niewiele on potrzebuje, do żarłoków i łakomców nie należy: małeńka kropelczka soku wystarczy mu na dzień cały.

Przyleciał do niego Paż Królowej. Powitali się różkami, a potem Paż zapytał:

— Czy nie znasz tego kwiatu? Patrz, nie chce się obudzić. Żółte płateczki korony jeszcze zupełnie stulone...

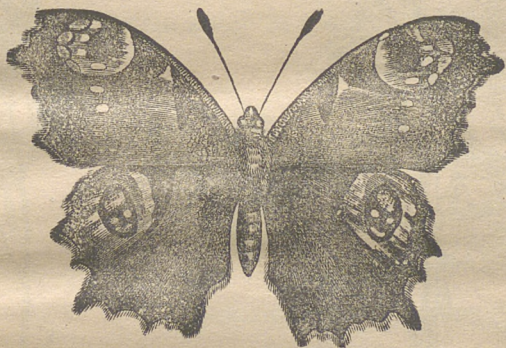
— Z widzenia znam, ale bliższych stosunków z nim nie zawarłem, bo kiedy on się ze snu budzi, to ja udaję się na spoczynek. To dziwny jegomość: na słońcu drzemie, a wieczorem czuwa... Nazywa się Wiesiołek.

— Zabawny zwyczaj spać, kiedy słońce świeci... Ale niech drzemie, skoro ma ochotę. Obejdziemy

się bez niego. Dosyć na łące Gwoździków, Fijołków, Dzwonków.

Tymczasem Świerszcze nastroiły już swe skrzy-
peczki i zaczęły grać, a muzyka ta była tak wesola
i skoczna, że tysiące Muszek poczęło tańcować
w powietrzu, tuż ponad trawą, tuż ponad kwia-
tami, przyspiewując cieniutko.

— Kiedy muzyka, to muzyka, zawołały Zie-
lone Żabki. Siadły na tylnych nóżkach, a otworzyw-



Pawie oczko.

szy szerokie paszcze, rechotały, ile im tylko głosu
stało!

A tam nad rowem, po prawej stronie łąki,
wśród krzaków łożyny wrywają się Czajki z krzy-
kiem i przeciągłym piskiem. Opuszczają gniazda
na kępach i lecą szukać pożywienia!

Ponad łąką rozbrzmiewa ich przeciągłe:

— Kilik, kilik, kilik!

— Der, der, der! odpowiadają im Derkacze
jasno-brunatne, podobne do kurczęcia.

Za Derkaczami zrywają się Chróściele, Kuliki,
Kszyki, Dubelty...

Łąka, niedawno jeszcze senna, cicha, coraz
bardziej się ożywia, pachnie i błyszczy w promie-
niach słońca.

Wśród różnobarwnych kwiatów uwijają się



Wiesiołek.



Niestrawa.

pracowite Pszczoły, a Gwoździki, Dzwonki, Fijołki
zapraszają je gościnnie do wnętrza kielichów
i poją swą słodyczą...

Wtem jakieś dziwne rozległo się brzęczenie...

To nie krzyk ptaków, ani rechotanie żab, ani
cykanie koników polnych...

Całą łąkę przeszedł dreszcz...

Od strony rzeczki stanęli kosiarze. W słońcu zabłyśły ich kosy.

— Dzyń, dzyń, dzyń! dzyń, dzyń, dzyń! rozległo się raz jeszcze, a potem pochyliły się ostrza ku ziemi.

Pierwsze kwiaty padły...

Były to Niezabudki błękitne, Żabia Mięta, Kaczeńce, Jaskry, Sitowie i Turzyca z łodygą trójkańczastą — wszystkie te, które się wody najbliższej trzymają.

Potem przyszła kolej na inne: zniknęły wkrótce



Pszczoly.

złociste wstęgi Mniszków, a obok nich leżały na pokosach pobladłe i smutne Gwoździki, Dzwonki, Cykorje, zmieszane z Wyczyńcem, Tonką, Perłówką i innymi gatunkami traw...

Na łące powstawał popłoch coraz większy. Motylki zrywały się z kwiatów i uciekały daleko. Świerszczyki i Biedronki spuszczały się po łodyżkach aż do samego korzenia roślin i siedziały tam nieruchome, drżące ze strachu. Zabki, obawiając się ostrza kosy, kładły się plackiem na ziemi, a te, które mogły jeszcze zdażyć, uciekały do rowu.

Największy był jednak strach i lament wśród ptasich gniazd.

— Czy i tutaj dojdą? — pytał lękliwie Derkacz sąsiadkę Czajkę.

— Przyjdą, przyjdą! Kilik, kilik, kilik.

— Der, der, der! — odpowiedział żałośnie Derkacz.

Tymczasem różnobarwny kobierzec znikał coraz dalej i dalej.



Jaskier.



Cykorja-Podróżnik.

Kwiaty i trawy padały, wydając ostatnie westchnienie.

A to westchnienie miało znaczyć:

— Umieramy, lecz nie żyliśmy daremnie. Byliśmy ozdobą ziemi. Słodki i wonny sok dawaliśmy hojnie pszczołom i motyłom, a i teraz staniemy się jeszcze pożyteczne... Zresztą nie giniemy na wieki... Z drugą wiosną nowe kwiaty zakwitną...

Okolo wieczora łąka była skoszona, a kwiaty uwiedły i uschły, bo słońce cały dzień mocno dopiekało.

Martwe — wydawały jednak zapach stokroć piękniejszy jeszcze, niż za życia, szczególnie Gwoźdździejki, Mięta i drobna Tonka pachniały, tak pachniały...

Skoszona łąka nasuwa mi zawsze takie porównanie.

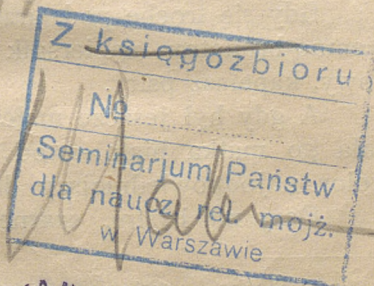
Ta woń kwiatów martwych — to jak dobre uczynki i myśli szlachetne... Człowiek zniknie ze świata, ale pamięć o nim trwać będzie, jeżeli przykładem i słowem krzewił pomiędzy ludźmi miłość prawdy, cnoty i piękna.

M. W. W. W.

Co to znaczy: hasło, hojny, źdźbło, kielich kwiatu?

M. W. W. W.

M. W. W. W.



AMATOR JAJECZNICY.

JEGO RYSOPIS.

Tak, tak, lubi jajecznicę. Nie smaży jej jednak w rondlu na kominie, ale we własnej gardzieli...

Co to za jeden?

Pończochy ma żółte, buty czarniawe, a frak — to już kilka razy zmieniał. Za młodu nosił brunatno-kawowy, a taki mięciuchny i lśniący, jakby z aksamitu. Do tego — krawat rudy, kapelusz biały, a z pod kapelusza dokoła twarzy duża ślarka *) z delikatnych piórek, niby falbana od nocnego czepca. Dziwne ubranie! Nieprawda?

Gdy się trochę podstarzał, przywdział kubrak ciemno-brunatny, napierśnik biały, krawat brązowy, kapelusz pstry.

A gdy był jeszcze maleńki, to podobno ubierała go matka biało — od stóp do głów, bo to kolor najodpowiedniejszy dla wieku dziecięcego.

Oczy ma bystre, czarne, na nogach ostrogi...

*) Ślarka — wstawka, koronka.

JEGO MIESZKANIE.

A gdzie on mieszka? Ani w mieście, ani na wsi; ani w polu, ani w lesie. Na katar nigdy nie choruje, nie cierpi także na reumatyzm, nie obawia się zatem wilgoci i dom sobie zwykle buduje na kępie wśród bagien, ale tylko na lato. Na zimę, jak prawdziwy wielki pan, wyjeżdża do ciepłych krajów, naprzykład do południowej Francji, Włoch, Hiszpanji, lub gdzie mu przyjdzie fantazja.

JEGO OBYCZAJE.

Jak on wchodzi do tego mieszkania? Musi chyba sobie zawalać buty, pobrudzić pończochy, poplamić frak? O, nie! Jest czyściutki, wyświeżony, elegancki. Zabrudzi się tylko wtenczas, gdy z zbyt wielkiem łakomstwem zjada jajecznicę...

Lubi on ją nadewszystko, zwłaszcza na wiosnę, gdy jajka są świeżutkie. Wiadomo, że tylko świeże jaja są smaczne.

Gdy niema jaj, jada mięso, naprzykład młodziutki zajączki, bekasy, kuropatwy, przepiórki. Zwierzyna — to smaczny kąsek. Wie o tem:

PAN BŁOTNIAK BŁOTNY!

Takie jego nazwisko, a przydomek: »Drapieżnik«.

Ma on kilku braciszków, jak Błotniaka Bia-

łego, Popielatego, Zbożowego, a skoligacony jest nawet z Sokołami.

To nie byle kto, a jednak rabuś, złodziej, nicpoń, szkodnik, rozbójnik, godzien — szubienicy!

JAK SOBIE ZYL, WRÓCIWSZY Z OBCYZNY.

Powróciwszy na wiosnę z za granicy, poleciał na znajome sobie bagno. Nie był sam, towarzyszyła mu żona, nielepszka od niego.

Dom przez zimę się zawalił; materiał wiatr rozniósł, woda zabrała. Trzeba było pomyśleć o nowej siedzibie. Zabrali się więc do pracy, ale pomału, nie śpiesząc się zbyt. Przynieśli trochę suchych gałęzi olszowych, ułożyli na kępie i był już fundament.

— Dosyć tego na dzisiaj! Trzeba odpocząć, powiedziała pani Błotniakowa.

— Trzeba się pokrzepić! odrzekł małżonek.

— Może Zabę upoluję. Polecę na łąkę.

— A ja pójdę w sitowie. Pójdź ze mną.

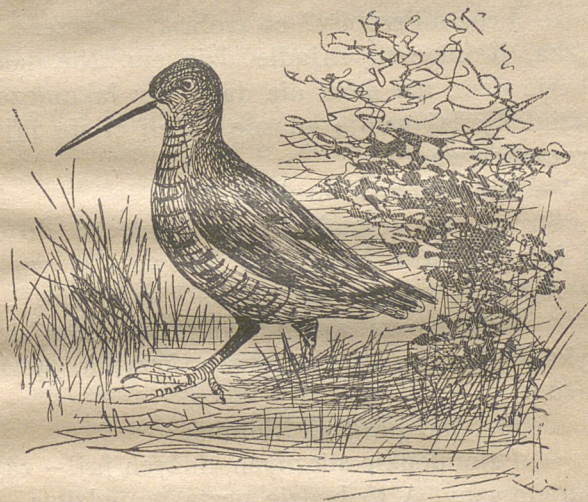
— Ani mi się marzy... W sitowiu nic nie znajduję. Jestem głodna i w ostateczności połknę Zabę, a nawet i Mysz, byle coś uczuć w żołądku...

— A ja ci mówię, pójdź w sitowie, tam kaczych gniazd musi być mnóstwo. Słyszałem kwkanie Krzyżówek.

— Bajki! nie widziałam dotychczas ani jednej. Leć, zobacz. Ja tymczasem udam się na łąkę; tam zdobycz pewna, a strasznem czcza. Do widzenia! Błotniak wznosił się niebardzo wysoko i leciał

wolno, wałęsając się nad krzakami i trawami. Przenikliwym wzrokiem dojrzał Bekasa, siedzącego na gnieździe. Uderzył nań z góry; ptaszek się zerwał, pofrunął, opuszczając jajka; a Błotniak rozbił jedno po drugim i wypił wszystkie.

Zachęcony takim pomyślnym początkiem, po-



Bekas.

leciał dalej, ponad brzeg jeziora. Uwijał się nisko ponad szuwarami, ponad trzcinami, ale niczego nie dostrzegł.

Wtem z boku usłyszał kwakanie. Przeleciała szybko dzika kaczka i rzuciła się w sitowie. Dopadła swego gniazda, które opuściła na chwilę. Roztoczyła jak najszerzej skrzydła, a potem

rzekła półgłosem do sąsiadki, siedzącej także na jajach:

— Błotniak jest niedaleko! Okryj dobrze jaja i siedź cichutko.

— Ho, ho! i największe milczenie was nie ocali! gdyż jestem już tu, piękna Kaczuszko, — zakrzyknął Błotniak, spuszcżając się na gniazdo.

— I cóż mi zrobisz? co zrobisz? — wrzeszczała Kaczka, broniąc się zajadłe dziobem. Nie dam ci jaj! Nie dam, nie dam, nie dam! Ty łakomcze, ty rabusiul! Zjadaj swoje własne, jeżeli ci się jajeczniczy zachciewa...

— Nie głupim... mruknął.

Stropił się jednak trochę i poleciał do drugiej Kaczki, która ze strachu schowała głowę pod skrzydło. Uderzył ją silnie w kark dziobem.

— Moja głowa! aj! aj! zabija mię, ratujcie! — krzyknęła Kaczka i rozłożywszy skrzydła, opuściła gniazdo.

Tęgo tylko pragnął Błotniak.

— Pełniuteńkie ślicznych, dużych jaj! — zawołał uradowany. A to będzie uczta prawdziwa. Nie mogła to się wybrać ze mną żonusia? Ale na upór niema lekarstwa...

Rozpoczął biesiadę. Tłukł jajka; opił się, objadł, powalał sobie żółtkami dziób i biały z pierza napierśnik. Nawet głowę, białą ślarę i pstry kapelusz pożółcił sobie, bo jadł bardzo chciwie i prędko.

Żalodne kwakanie Kaczki przestraszyło dalsze sąsiadki. Pozrywały się wszystkie z gniazd, myśląc, że zjawił się Jastrząb albo Człowiek z fuzją i Psem...

Błotniak widział doskonale, skąd się zerwały i rzekł sam do siebie:

— To dopiero początek uczy. Szkoda, że jaj w dziobie przenieść nie mogę; uraczyłbym żonusię. Pewnie tam biedactwo nad polami krąży i na marną Mysz czatuje, ale — dlaczego mię nie usłuchała...

Gniazd na kępach było mnóstwo. Jakie w nich imię pan Błotniak Błotny, z przydomkiem Drapieżnik, zrobił spustoszenie, tego i opowiedzieć niepodobna!...

Gdy kaczki odważyły się powrócić do swych siedzib, znalazły tylko w gniazdach skorupy.

— Moje śliczne jajka, moja cała pociecha, wołała jedna z jękiem bóleści.

— Ach! ten rabuś, ten rozbójnik! Gdy tu się jeszcze raz pokaże, wszystkie się na niego rzucimy, to damy mu przecież radę, — krzyczała druga.

— I moje stłuczone!

— I moje gniazdo puste!

— Miałam jaj dziesięć; ani jednego nie zostawił.

— Trzeba rozpoczynać pracę od samego początku...

— Wyniosę się stąd daleko i zbuduję nowe gniazdo.

— A ja wcale budować już w tym roku nie będę... Po co? Na co? Zeby mi ten rabuś znowu jajka wypił!

Tak narzekały Kaczki, kwakając żałośnie. Straszny ból ścisnął ich serca, lecz nikt się nad nimi nie użalił, nikt nie stanął w ich obronie... Biedne matki.

Błotniak tymczasem wrócił spokojnie do rozpoczętego gniazda. Zastał już tam drzemłą samicę. Zbudził ją i opowiedział o swej wyprawie.

Od tego czasu urządzali zwykle wspólne wybieczki. Ile oni jaj natłukli: czajczych, bekasich, kaczych, a nawet innych Błotniaków! Ktoby to zliczył!...

Czasami też zapuszczali się na błonia po młode Gąsiątka, to na łąki — po delikatne Chróściele, to w łanach zbóż polowali na Przepiórki. Dobrze im się działo. Oboje byli tłuści, dokończyli powoli gniazda i zaczęli wreszcie myśleć o własnej rodzinie, chociaż im do tego nie było bardzo śpieszno.

Pani Błotniakowa złożyła w gnieździe trzy białe jaja i zasiadła na nich. On czasami żonę wyręczał, ale częściej wałęsał się samotnie, szukając jaj, których jednak bywało już coraz mniej.

SMUTNY KONIEC.

Bagna, na których mieszkali Błotniakowie, stanowiły część wioski: »Mokradła«. Właścicielem jej był pan Pafnucy Wilgocki, dobry, spokojny człowiek.

Razu jednego przyjechał w odwiedziny do pana Wilgockiego gość z Litwy, niejaki pan Bonawentura Strzelecki, zawołany myśliwy. Mieszkając w sąsiedztwie Puszczy Białowieskiej, ciągle prawie nosił strzelbę na ramieniu, a wyżeł Ryś towarzyszył mu zawsze. Pan Bonawentura znał doskonale nie tylko wszelkie zwierzęta dzikie, ale i ptaki, tak

pożyteczne, jako też i drapieżne. Strzelał nadzwyczaj celnie, nie chybiał prawie nigdy.

Do Mokradel przyjechał po raz pierwszy. Ledwie zeszedł z bryczki, rzekł do pana Wilgociego:

— Ależ, mój miły Pafnucy, musi tu być u ciebie prześliczne polowanie na jeziorku pod lasem; hoduje się tam niezawodnie kaczek co niemiara.

— Niewiele. Za ledwie raz po raz gajowy coś przyniesie. Ja — bo nie lubię się z flintą włóczyć.

— Czy być może? Ja nad wszelką rozrywkę przekładam polowanie. Tyle bagien, stawów! takie rozległe moczary — to raj ziemski dla błotnego i wodnego ptactwa. Musicie tu mieć bekasy i cyranek krocie?

— I to się rzadko zdarza.

— Ej, nie może być. Wybiorę się na kaczuszki choćby jutro.

— Jutro musisz się wywczasować po podróży. Kaczki nie uciekną. Poczekaj parę dni...

— Po co czekać? Ja nie zmęczony. Jutro raniusieńko zapoluję.

— A poluj sobie, kochany Turciu, jak chcesz. Jestem ci z duszy rad i w domu moim jesteś panem.

Nazajutrz rano pan Bonawentura Strzelecki w wysokich butach, w kurtce myśliwskiej, z torbą u pasa, fuzją na ramieniu wyszedł w pole. Ryś biegł przed nim, podskakując radośnie: — On — dzielił upodobania swego pana...

Poszli w stronę jeziorka, leżącego wśród łąk i oparzelisk.

Ryś pędzi naprzód, wietrzy, węższy, spuściwszy na dół głowę. Naraz podniósł ją i stanął.

Spojrzy pan Bonawentura, a tu leci nizko wielki ptak, z białym napierśnikiem i ślarą gęstą naokoło oczu i dzioba.

Zdejmuje fuzję, mierzy, celuje.

Pada strzał.

Ptak wzniósł się w górę, przewrócił koziółka w powietrzu, a potem ciężko spadł na trawę.

— A tuś mi, ptaszku, wykrzyknął uszczęśliwiony myśliwy. Polowałeś przede mną na kaczuszki. Niósł wilk kozłą, poniosą i wilka, a raczej: niósł błotniak jajecznicę, poniesiemy błotniaka!

A Ryś radował się razem ze swym panem i obskakiwał zdobycz, dopóki jej pan Bonawentura do torby nie przytroczył.

Zaturkotała bryczuszka. To pan Pafnucy go nił gościa.

— A widzisz, Pafnusi miły, com upolował! Teraz się nie dziwię, że kaczek niema.

— Czy to bąk?

— Aj, Pafnusi miły, jak można coś podobnego powiedzieć! To błotniak błotny, najgorszy szkodnik, największy rabuś kaczyczych gniazd, amator jajeczniczy.

Piękny okaz.

.....

Obecnie błotniak błotny, z przydomkiem dra pieźnik, stoi wypchany w Gabinetie Zoologicznym

w Warszawie. Wygląda prawie, jak żywy; nawet
małą przepióreczkę trzyma w dziobie, tylko
oczy ma bez wyrazu, bo — szklane.

Co to znaczy: bagno, sitowie, szuwały, napierśnik,
flinta?

